**Nr. 42.** We Lwowie, Poniedziałek dnia 20. października. **1890**

# Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

## Ze Szwajcaryi.

I.

Nie powiem nic nowego, gdy czytelnikowi „Dziennika" przypomnę, że w granicach, jakie Szwajcaryi bieg czasu, oraz losy wojen nakreśliły, uważaną być ona może za prawdziwe centrum Europy i temu to geograficznemu przywilejowi zawdzięcza, pomimo skromnych rozmiarów, niepoślednie w systemie państw europejskich znaczenie. Ruch turystów wszystkich krajów i wszystkich języków zwiększa się tu rokrocznie. Rok rocznie o pięknej porze, latem i jesienią, krocie pielgrzymów, chciwych rozrywek i wrażeń, ciągną pojedynczo lub karawanami, jak procesya bez końca, zapełniając hotele, tak, że nieraz miejsce, jeżeli nie przemocą, to podstępem zdobywać sobie potrzeba.

Genewa, z 73,000 mieszkańców, największe miasto, a stolica jednego z najmniejszych kantonów Szwajcaryi ze 108,000 ludności, była zawsze bardzo handlową i przemysłową miejscowością. Zegarmistrzostwo jej rozległym, jak wiadomo, cieszy się w świecie rozgłosem, a rozgłos, ten pochodzi ztąd, że fabrykacya zegarków praktykuje się tu z dawien dawna w ciągły i racjonalny sposób, od dwóch przeszło wieków, gromadząc tu wszystkie do nauki zegarmistrzowskiej środki i przekazując następnym pokoleniom, za pomocą utworzonych w tym celu od samego początku tego przemysłu instytucyj.

*Post tenebras lux* — oto dewiza Genewy, a ta dewiza, która przez długie wieki była niejako tylko marzeniem, dziś uważaną być może za urzeczywistnioną w całem znaczeniu tego słowa. Bo i gdzież jest miasto, któreby weselsze już na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie, jak dzisiejsza Genewa? Gdzie miasto, któreby tyle, co Genewa, liczyło towarzystw uczonych i stowarzyszeń artystycznych, literackich itp. Pod względem oświaty zajmuje Genewa jedno z najprzedniejszych miejsc w świecie, a jej szkoły z 11,000 uczącej się młodzieży, uważane być mogą za wzorowe. Oddawna rywalizuje Genewa z największemi miastami co do ilości głośnych sławą mężów. Dość wspomnieć tu o J. J. Rousseau, de Saussure, Necker'ze, Sismondi'm, Toepferze, Pradier'ze i nakoniec o Cherbuliez'ie, znakomitym współczesnym powieściopisarzu.

Jeżeli dawna Genewa na ścisłej, do fanatyzmu posuniętej opierała się religijnej jedności, to żadne może miasto dziś nie praktykuje do tego stopnia, co Genewa, wolności sumienia. Różnorodność wyznań utrzymuje się tu w stosunku do liczby zamieszkujących miasto narodowości. Protestantyzm i t. zw. „katolicyzm chrześciański" są wprawdzie uważane za religię stanu, ale katolicyzm rzymski najliczniejszych ma tu wyznawców. Po nim idzie dopiero kalwinizm, dalej zwingliści, luteranie, kościół episkopalny angielski i amerykański, presbyteryanie, katolicy obrządku greckiego, metodyści, w końcu anabaptyści, których sektę założył niejaki p. Monod, dziś stuletni starzec. Głosi on, że jest nowem wcieleniem Chrystusa!... Starozakonnych liczy Genewa około 7.500 a przeszło 2,000 osób, nie przyznających się do żadnej religii. Przywódcy partyi katolickiej w Genewie spodziewali się i spodziewają, że bliskim jest dzień, w którym biskup ich wstąpi uroczyście w progi katedry św. Piotra. Kościół ten, imponujący wprawdzie rozmiarami, jako dzieło sztuki jest drugorzędnym, ale z innego powodu ma wielką historyczną doniosłość. Z jego to kazalnicy wygłosił niegdyś Kalwin swoją naukę. Przyznać trzeba, że polityka dążeniom genewskich katolików niepoślednie oddała usługi. Od r. 1872-go tworzą katolicy genewscy z konserwatystami t. zw. partyę demokratyczną.

Faktem jest, że rdzenna ludność Genewy zmniejsza się bez ustanku, choć powoli. Rok rocznie 350 przeciętnie cudzoziemców nabywa tu prawo obywatelstwa przez naturalizacyę, a obecnie znajduje się na terytoryum Genewy 40,970 cudzoziemców, 25,800 Szwajcarów z innych kantonów, a 40,280 obywateli Genewy. Napływ żywiołu obcego czyni, że stare mieszczaństwo genewskie traci powoli swój charakter, swoją odrębną cechę. Genewczyk starej daty trudni się głównie przemysłem i handlem przedmiotów zbytku. Naukę zaś i wykształcenie swe wyzyskuje on w sposób praktyczny, zkąd wielka liczba guwernerów i guwernantek genewskich po całym świecie. Zawód oberżysty, służącego, albo niższego rzemieślnika, nie przypada mu wcale do gustu. To też większa część właścicieli hotelów i piwowarni jest Niemcami, zwykle naturalizowanymi Genewczykami. Francuzi są właścicielami wielkich kawiarni; mniejsze kawiarnie i domy gościnne znajdują się w posiadaniu Szwajcarów niemieckich, rzadko Sabaudczyków, rzadziej jeszcze Genewczyków. Handlem mleka i serów trudni się tu wyłącznie Szwajcar z kantonu Bern, a służącemi są zwykle dziewczęta sabaudzkie, Niemki albo Szwajcarki niemieckie. Na 216 bogaczów, zamieszkujących terytoryum kantonu, większość pochodzi ze starych protestanckich rodów genewskich. Znajduje się też pomiędzy nimi i kilku cudzoziemców, a z tych najpierwsze miejsce zajmuje bar. Adolf Rothschild, którego pałac i park w Pregny, o pół godziny od miasta, uchodzi za jeden z najpiękniejszych w Szwajcaryi.

Genewa jest punktem zbornym wycieczek do doliny Chamonix. Być więc w Genewie, a nie

zwiedzić Chamonix, to być w Rzymie i papieża nie widzieć. Rozgłos Chamonix nie sięga przedhistorycznych czasów. Przed stupięćdziesięciu laty i najlepsze mapy nie zmiankowały nawet jeszcze o Mont-Blanc. Dopiero w roku 1741 dwóch Anglików, zwiedziwszy dolinę Arye na przestrzeni kilkunastu kilometrów, zawiadomiło Genewczyków o odkryciu cudnej, tak powszechnie znanej dziś i uwielbianej okolicy. W r. 1742 prawdziwa karawana, nietylko samą przyjemność mając na widoku, wyruszyła w góry z inżynierem, Piotrem Martel, na czele. Martel zmierzył po raz pierwszy wysokość niektórych szczytów, a w szczególności wierzchołek Przeklętej Góry, t. j. dzisiejszej Mont-Blanc i uznał ją za najwyższą ze wszystkich gór alpejskich. W r. 1786 t. j. 44 lat później, pewien młody mieszkaniec doliny, nazwiskiem Jakób Balmat, wdrapał się na tego olbrzyma, a w rok później, znakomity uczony genewski de Saussure, dostał się w towarzystwie tegoż Balmata, na sam wierzchołek góry Mont-Blanc, gdzie dokonał znanych naukowych badań. Chamonix, nędzna lat temu sto wioszczyna bez oberży, stała się dziś głośniejszą i lepiej znaną od wielu zkądinąd znakomitych grodów. Śród lata nabiera Chamonix życia i ruchu, jakie tylko na ulicach wielkiego miasta napotkać można. Omnibusy, karety, powozy, wozy, krzyżują się tu bez ustanku; karawany turystów, jedni pieszo, inni na mułach, krążą we wszystkich kierunkach, a ciekawy widz z przyjemnością i korzyścią napatrzeć się może typom świata całego, defilującym przed jego oczami od wczesnego rana do ciemnej nocy. Od stu lat Mont-Blanc zwidzoną była przez więcej, niż tysiąc turystów, pomiędzy którymi kilkadziesiąt kobiet. Antoni Malczewski opisał wycieczkę na Mont Blanc.

Przed niedawnem czasem, bo jeszcze przed trzema miesiącami, turyści do Chamonix pakowali się w Genewie, jak śledzie w beczce, do ogromnego, o sześciu koniach dyliżansu, który w przeciągu dziesięciu godzin transportował ich aż do podnóża góry Mont-Blanc. Dziś, dzięki pewnej przestrzeni nowootworzonej kolei, sposób ten podróżowania, który obok niezaprzeczonego powabu poważne a liczne przedstawiał niedogodności, został znacznie uproszczony: sześć godzin i około 20 fr. starczą do przeniesienia się do tego zaczarowanego kąta.

---

# Wycieczka na księżyc.

Dziewiętnaste stulecie jest obok świat zadziwiających wynalazków, także wiekiem szybkich i dalekich podróży. W 65 do 70 dniach można całkiem wygodnie objechać kulę ziemską, nie zrzekając się niczego z codziennych wygód życia i zbytku w urządzeniu. Do odbycia takiej podróży potrzeba było jeszcze do niedawna wielu lat i to wśród tysiąca niebezpieczeństw i niezliczonych niedogodności. Mimo to jednak wszystkie środki pomocnicze, jakie ludzka twórczość zdobyła, nie dozwalają nam w tych wycieczkach rozłączyć się z matką, ziemią i tylko wzrokiem zdołamy z niej sięgnąć w przestworze, spoglądając pełni przeczuć ku tym wiecznym światłom, żarzącym się w niezbadanej oddali. Ludzki geniusz pracował niezmordowanie nad tem, aby nasz wzrok należycie wzmocnić, stworzywszy doskonałe szkła, które zbliżają do nas najodleglejsze nawet ciała niebieskie.

Temu tylko zawdzięczyć należy, że przedmiotem ulubionych badań astronomicznych, stało się szczególnie to ciało niebieskie, które jest ziemi najbliższem, mianowicie księżyc. Dziś znamy już ukształtowanie jego powierzchni tak dalece dokładnie, że rozporządzamy kartą księżyca, podobnie jak kartą każdej części świata. Z nią w ręku stać się może podróżowanie wśród krain księżycowych, równie interesowną jak pojedynczą rzeczą. Nic więc łatwiejszego jak zapragnąć zrobić wycieczkę na księżyc, aby się z bliska przypatrzyć jak tam wygląda. Gdybyśmy atoli chcieli zamiar ten wykonać fizycznie, to podróż taka trwaćby musiała przy użyciu najszybszych środków komunikacyjnych, jakie są obecnie znane, jednym ciągiem i bez żadnych przystanków tylko dziesięć miesięcy, chociaż tę samą drogę z księżyca do ziemi odbywa promień światła w niespełna $1^1/_2$ sekundy. Długość tej drogi wynosi bowiem poważną ilość 384.500 kilometrów, czasem mniej lub więcej, gdyż księżyc nie znajduje się zawsze w równem od ziemi oddaleniu.

W tych zatem warunkach staje się nasz zamiar niemożliwym; przypuśćmy jednak, że jakąś nieznaną siłą zapędzeni, dostaliśmy się na księżyc. Już zaraz na wstępie musielibyśmy odczuć dotkliwie zmianę miejsca pobytu; działoby się nawet z nami gorzej, bo wkrótce udusilibyśmy się niezawodnie, skoro skonstatowanem jest, iż księżyc nie posiada takiej atmosfery, któraby umożliwiała oddechanie, a tem mniej posiada wodę. Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, przychodzimy do przekonania, że możebnem jest dla nas odbycie podróży po księżycu tylko w duchu, posługując się spostrzeżeniami astronomów i badaczy tej tajemniczej zawsze części wszechświata. Dzięki tym spostrzeżeniom rozpoznano powierzchnię księżyca jako teren na wskróś górzysty, a chociaż znajdują się i tam równiny, to jednak nie dadzą się one porównać z równinami ziemi, gdyż są najeżone wzgórzami, otworami wulkanicznymi, poprzerzynane wąwozami i różnego rodzaju wzniesieniami gruntu. Prócz tych mniej więcej równych powierzchni, piętrzy się wszystko na księżycu od dzikich, kończastych mas skalistych i szczytów gór; obok wyłaniają się znowu wulkaniczne otwory aż do rozmiarów, o których nie mamy wyobrażenia. Rozrzucone są też po nim wulkaniczne i górzyste wały, które zajmują taką przestrzeń jak niejedno udzielne księstwo europejskie. Obok więc zupełnej martwoty, przedstawia się powierzchnia księżyca jako skalista skorupa, wskazująca na niezwykły proces wulkaniczny, jaki się tam odbył, a nawet dziś jeszcze niezupełnie wygasł. Od czasu do czasu tworzą się jeszcze nowe kratery i rozpadliny, przez które wydobywają się z wnętrza księżyca rozpalone masy na jego powierzchnię. Księżyc nie posiada też wcale mórz, a przynajmniej większych mas wody, chociaż w odległej bardzo przeszłości posiadał on niewątpliwie oceany, czego dowodem są wielkie siwe płaszczyzny, dające się spostrzegać wolnem okiem podczas pełni księżyca i wskazujące na wszelkie właściwości pierwotnego, dziś już wyschłego, dna morskiego. Pierwsi badacze księżyca uważali też przestrzenie te, wynoszące około

170.000 mil kwadratowych. jako rzeczywiste, wodą napełnione kotliny i oznaczali je jako „morza“. *X.*

(Dokończenie nastąpi).

# Z nowel Tołstoja.

## Gdzie miłość, tam i Bóg.

(Dokończenie).

Awdeicz pijąc drugą, spoglądał wciąż na ulicę.

— Oczekujesz kogo? pyta gość.

— Czy kogo oczekuję? Wstydzę się powiedzieć. Oczekuję czegoś i nie oczekuję... ale wpadło mi takie słowo do duszy... miałem objawienie... albo ja wiem już, co?.. Ot, widzisz bracie, wczoraj czytałem ewangelję o Chrystusie, jak chadzał po świecie. Słyszałeś przecież o tem?

— A słyszał. Ale my ciemni ludzie nieczytelni.

— Nu, czytam tedy, jak chodził po świecie, jak przybył do Faryzeusza. a ten go nie przyjął, jak należy i myślę sobie przy tem czytaniu, żeby tak mnie to spotkało, sam bym nie wiedział, jak go przyjąć. Tak dumając zdrzemnąłem trochę. W tem słyszę, drzemiąc, ktoś mnie woła; zrywam się i słyszę szeptem wymówione te słowa: Czekaj, przyjdę jutro. I tak raz po raz dwa razy. Teraz śmieję się sam ze siebie, a jednak Pana wyglądam.

Stepanicz nic nie odrzekł, wypił swoją herbatę i obrócił swą szklankę, ale Awdeicz ją odwrócił i znów napełnił.

— Pij zdrów. Myślę że nasz Zbawca, chodząc po ziemi, nie pogardzał nikim, a obcował jeno z ludem. Z pośród takich, jak my, wybierał sobie uczniów, z pośród prostych—ot—robotników. Kto się wynosi, będzie poniżony, kto się poniża, wywyższon będzie. Wy mnie, powiada, nazywacie Panem swym, a ja wam nogi umyję. Kto chce przodować, musi służyć drugim. Błogosławieni ubodzy, pokorni i cichego serca.

Stepanicz zaniedbał szklankę, ot, stary miękkiego serca człowiek. Siedzi ino cicho, słucha, słucha, a po twarzy płyną mu ciche łzy,

— No, jeszcze łyczek, rzecze Awdeicz, ale Stepanicz przeżegnał się, podziękował i powstał, odsunąwszy szklankę.

— Bóg zapłać, Marcinie Awdejewiczu, uczyniłeś mi dobrze, nakarmiłeś ciało i duszę.

— A na drugi raz wstąp do mnie, Stepaniczu, wstąp!

Stepanicz poszedł. Marcin nalał ostatek herbaty, wypił, uprzątnął naczynie i począł łatać stary, zachodzony trzewik. W czasie roboty wyziera przez okno, oczekuje wciąż Chrystusa, myśli bez przerwy o Nim, o Jego naukach i czynach.

Patrzy, przechodzą dwaj żołnierze, jeden w butach pułkowych, drugi w swoich własnych; potem przeszedł w błyszczących kaloszkach gospodarz domu z przeciwka; następnie piekarz z koszem pieczywa. Ale niedługo nadeszła kobieta w wełnianych pończochach i chłopskich trzewikach. Stanęła tuż przy ramie okienka, Awdeicz spojrzał... Kobieta obca, nędznie ubrana, z dziecięciem na ręku; staje przy ścianie, plecami odwrócona od wiatru i zawija dziecię... zawija, a tu niema, czem. Odzież kobiety letnia i dziurawa. Awdeicz słyszy przez okno, jak dzieciak kwili; uspokaja go, ale nadaremnie. Awdeicz do drzwi i woła z progu:

— Dobra kobieto, dobra kobieto!

Kobieta się obejrzała.

— Co ci tak stać z dzieciną na mrozie? Zajdź do izby, tu, w cieple lepiej je zawiniesz. Tu, tutaj!

Zdziwiona patrzy nań kobieta, woła ją oto stary człeczyna przy fartuchu i w okularach na nosie!... Weszła za nim do izby, a stary wskazuje jej łóżko.

— Siadaj tu, poczciwa kobieto, tu, bliżej pieca; ogrzej się i uspokój dziecinę.

— Nie mam kropelki mleka w piersi, od rana nie miałam nic w ustach, powiada kobieta, ale przysadza dziecię do piersi. Awdeicz pokiwał z politowaniem głową, podszedł do stołu, dobył chleba i garnuszek otworzył, drzwiczki od pieca i wyjął garnek z kaszą; ponieważ nie była jeszcze ugotowana, nalał tylko zupy i postawił na stole. Zdjął też ręcznik z kołka i rozpostarł go.

— Siadaj i jedz, rzecze — dobra kobieto. Tymczasem pobawię dziecinę. Potrafię, miałem i ja dzieci.

Kobieta się przeżegnała, usiadła przy stole i zajada. Awdeicz przysiadł na łóżko do dziecka. Mlaszcze, ściągając usta do dziecka, ale niewyraźnie, bo nie ma biedaczysko zębów. Dziecię nie przestaje krzyczeć. Wtedy myśli sobie Awdeicz, trzeba sprobować palcami — i wprowadza swój palec do buzi malca i ucieka z nim, bo palec całkiem czarny od smoły. Dziecię obejrzało dokładnie palec na wszystkie strony i uspokoiło się wnet, a nawet śmiać się poczęło. I Awdeicz się rozruszał, a figlował z dzieciną. A kobieta je i opowiada, kim jest i z kąd przybywa.

— Jestem żołnierka (żona żołnierza) powiada, przed ośmiu miesiącami wywieźli mi męża gdzieś bardzo daleko ztąd i od tego czasu nic nie wiem, co się z nim dzieje. Przyjęłam miejsce jako kucharka, ale porodziłam tego, ot, robaczka, a z dzieciakiem nie chcą mnie nigdzie trzymać. Już trzeci miesiąc. jak siedzę bez służby, wysprzedałam się ze wszystkiego. Chciałam pójść w mamki. lecz mnie nie przyjęto, powiadają, żem zanadto chuda!... Teraz byłam u żony kupca, tam służy kobieta z naszej wsi, obiecano mnie przyjąć do służby, chciałam zaraz, ale kazali mi przyjść dopiero na drugi tydzień, mieszkają tak daleko, oj, zmęczyliśmy się, a dziecko, to takie słabiutkie, że strach. Dzięki Bogu, że choć litościwą mam gospodynię, w imię Chrystusa nas trzyma i nie wyrzuciła dotąd z mieszkania.

Awdeicz westchnął i rzekł: „A nie masz ty cieplejszego ubrania?“

— A zkądż-bym je wzięła, tatunciu. Ot, wczoraj zastawiłam ostatnią chuścinę za 20 kopijek.

Podeszła do łóżka i wzięła dziecko. Awdeicz powstał i zdjął z kołka stary kaftan.

— Masz oto, rzekł, łach jest, to prawda, ale dziecko niem owiniesz.

Spojrzała na kaftan to na staruszka i rozpłakała się. Awdeicz pochylił się, wyciągnął jakąś paczkę z pod łóżka, przeszukał ją i usiadł.

— Niech cię Bóg błogosławi, rzekła kobieta— nikt, jeno On przyprowadził mnie pod twoje okienko, ojczulku. Gdyby nie ty, dziecko by mi umarło. Nikt, tylko Chrystus kazał ci spojrzeć przez okno, by nas poratować.

Uśmiechnął się Awdeicz i odpowiedział:

— Tak, to On mnie oświecił, dobra kobieto. Nikt inny!

I jął opowiadać swój sen żołnierce.

— Może to i tak być, rzecze kobieta, poczem powstała, zawinęła dziecinę w kaftan i pochylała się raz po raz z podziękowaniem.

— Weź jeszcze i to w imię Chrystusa, rzekł Awdeicz i wetknął jej 20 kopijek na wykup chustki.

Przeżegnała się, przeżegnał się i on i wyprowadził ją z izby.

Gdy kobieta wyszła, zjadł Awdeicz swoją zupę, uprzątnął garnek i zasiadł znów do roboty. Ale od czasu do czasu zerk przez okno. O szarówce znowu patrzy na przechodniów. Widzi znajomych i nieznajomych, ale nic szczególnego. Nagle staje tuż przed oknem stara przekupka z koszem jabłek, sprzedała prawie wszystkie, nie wiele w koszu zostało, przez ramię zawiesiła wór z trzaskami, prawdopodobnie nazbierała je przy jakiejś budowie, a teraz wraca do domu. Wór ją widocznie uciskał, chce go przełożyć na drugie ramię, i w tym celu spuściła go na chodnik; a kosz z jabłkami też postawiła, potrząsając workiem z trzaskami. Wtem nadbiega wyrostek w podartej czapce, chwyta jabłko z kosza i w nogi. Stara to spostrzegła, odwraca się szybko i chwyta malca za rękaw. Chłopak się kurczy, chce jej się wydrzeć, ale ona chwyta go jeszcze silniej, zrzuca czapkę i łap za czuprynę! Chłopak w pisk, baba klnie na czem świat stoi.

Awdeicz ciska trzewik o ziemię i wybiega, przytem potyka się o próg, a okulary spadają z nosa. Wybiegłszy na ulicę, widzi, jak baba trzyma wyrostka za czuprynę i chce go oddać na policję. Chłopak oczywiście wydziera się ze wszystkich sił.

— Ja nic nie wziął, krzyczy, łkając. Za co mnie bijesz, za co mnie bijesz?

Awdeicz stara się ich rozdzielić, chwycił chłopca za rękę.

— Puść go mateczko, przebacz w imię Chrysta.

— Już ja mu przebaczę, że poczernieje. Na policję z tym wisielcem.

— On już więcej tego nie zrobi, prosi Awdeicz. Niech idzie z Bogiem.

Stara puściła chłopca, który chciał już dać szczupaka, lecz Awdeicz go powstrzymał.

— A przeprosże matulę i nie rób tego więcej. Toć sam widziałem, jak brałeś jabłko.

I chłopiec prosił z płaczem o przebaczenie.

— Otóż tak, a teraz masz tu jabłko.

I Awdeicz dobył z kosza jabłko i dał je wyrostkowi.

— Zapłacę je, rzekł do przekupki.

— Tylko ot psujesz lamparta! Jabym mu dała, żeby przez tydzień nie usiadł.

— Eh, mateczko, toby nie było po woli Bożej. Gdyby malec za takie głupstwo na rózgi zasłużył, cóżby nam wypadło za nasze ciężkie grzechy?

I Awdeicz opowiedział starej porównanie, jak wierzyciel darował dłużnikowi cały dług, a dłużnik poszedł i począł go dusić.

Stara słuchała uważnie, a i malec słuchał, gryząc jabłko.

— Bóg kazał przebaczać, rzekł Awdeicz, aby i nam było przebaczone. Wszystkim trzeba przebaczać, a nierozumnym tembardziej.

Stara kiwała głową, wzdychając:

— Juści tak, tak, ale to lamparty nie do wytrzymania.

— To my, starzy winniśmy ich pouczać.

— A no, a no. I ja tak mówię. Miałam sama siedmioro dzieci, pozostała mi tylko córka.

I poczęła opowiadać, jak żyje z córką i ile ma wnuków.

— Choć to i siły u człeka już nie obfite, pracuje się jak może. A wnuczki, to takie poczciwe, takie przywiązane.. Zwłaszcza Aksiutka, to się trzyma wciąż fartucha: A babusiu to, a babusiu owo!... Ot drobiaździek, mój kochany... głos staruchy zmiękł na masło. „A ty idź już smarkaczu, idź! Bóg z tobą!"

To mówiąc, zarzuca worek na plecy. A chłopak przyskakuje i powiada: Poniosę wam kosz babusiu, idziem w jedną stronę.

I poszli jedno obok drugiego. Starucha zapomniała upomnieć się o grosz za jabłko, a tylko drepciła równo z chłopcem, gwarząc wesoło o swoich wnuczkach. Awdeicz poglądał za niemi.

Postał tak chwilę, uśmiechając się łagodnie, poczem zawrócił się do siebie, znalazł na schodach okulary, dzięki Bogu nie zbite, poczem usiadł do roboty. A tymczasem przyszła i szarówka. Latarnik zapalał latarnie, jedną po drugiej. Czas i mnie zapalić światło, pomyślał Awdeicz wyczyścił lampę, powiesił, zapalił i usiadł do roboty. Jeden but skończył, obejrzał go dokładnie na wszystkie strony... wszystko dobrze. Złożył narzędzia, wymiótł izbę, postawił na stole lampę i zdjął z półki pismo święte. Chciał je tam otworzyć, gdzie sobie był wczoraj założył okrawkiem safianu, ale otwarło się w innem miejscu. A gdy tak otwarta biblia przed nim leży, przypomina sobie wczorajszy sen. Wtem słyszy nagle, jakby kroki za sobą. Ogląda się i spostrzega: W ciemnym kącie stoją ludzie, tylko nie może rozeznać, co za jeden. A w tem szepcze mu ktoś do ucha: Marcin, Marcin! poznajesz nas?

Kogo? pyta Awdeicz.

Mnie, rzecze głos, to ja jestem.

I z ciemnego kąta wyszedł Stepanicz, uśmiechnął się i rozszedł w mgle.

I ja tu jestem, rzecze głos i z ciemnego kąta ukazuje się matka z dzieckiem, kobieta się uśmiecha, dziecina z uśmiechem wyciąga rączki, i nikną.

I ja przybywam, ozwie się głos i zbliża się staruszka z chłopakiem, wyrostek trzyma w dłoni jabłko, oboje uśmiechają się i wraz rozpływają się w chmurce.

Awdeiczowi tłucze się z radości dusza w piersiach, przeżegnał się przejęty, ubrał okulary i czyta ewangelję na onej karcie, która się sama otwarła.

Na nagłówku stronnicy przeczytał: Mateusz, 25, co następuje: Byłem głodny, a nakarmiliście mnie, byłem spragniony a napoiliście mnie. Prosiłem o gościnę i przyjęliście mnie.

A następnie czytał na dole: Zaprawdę, powiadam wam: Cokolwiek uczynicie owym maluczkim braciom to tak, jakbyście mnie uczynili! I pojął Awdeicz, że sen go nie oszukał. i że dzisiejszego dnia przybył do niego Zbawiciel w swej własnej osobie!... *F. Wysocki.*

---